

Elżbieta Jogalla

## Dwór w Goszycach, Zofia Zawisza-Kernowa i dzieje przyjaźni Szczepańskich i Turowiczów<sup>1</sup>

Majątek Goszyce pod Krakowem, z XVII-wiecznym dworem modrzewiowym – bo od niego zaczyna się ta właściwie dwuwątkowa historia – został kupiony na początku XIX wieku przez Wojciecha Boduszyńskiego, lekarza i profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego wnuczka, Józefa Maria, wyszła za Antoniego Zawiszę, a ich z kolei syn Artur wznosił obok starego dworu murowany parterowy dom z piętrowym skrzydłem. Córka Artura i Marii z Wolskich, to Zofia Zawiszanka *primo voto* Gaşiorowska, *secundo voto* Kernowa (1889–1971).

W 1905 roku piętnastoletnia Zofia Zawiszanka rzuca szkołę (maturę zdała zaocznie), by poświęcić się konspiracyjnej pracy niepodległościowo-wojskowej. Później wstępuje do PPS, jest członkinią Związku Walki Czynnej, Związku Strzeleckiego i innych założonych przez Józefa Piłsudskiego w zaborze austriackim organizacji szkolenia wojskowego. Jako kurier przekraczała wielokrotnie granice zaboru austriackiego i rosyjskiego. Organizowała też kursy dla kobiet, tajne organizacje samokształceniowe, prowadziła wykłady w szkole podoficerskiej dla dziewcząt (miała stopień kapitana), wydawała gazety podziemne.

Zofia Zawiszanka uzyskała wykształcenie rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale nie interesowała się prowadzeniem majątku. Z zamiłowania była pisarką (pseudonim, również w konspiracji – Anna Wiśniowiecka). Wydała wspomnienia ze swej wywiadowczej działalności legionowej (*Poprzez fronty*), opowieść o dzieciństwie Piłsudskiego, książkę o Joannie d’Arc, kilka powieści i tomik poezji oraz liczne artykuły drukowane w polskiej prasie. W jej papierach zachowały się też dzienniki z lat 1905–1914, w tym fascynujące ówczesne rozważania na tematy wojskowe i niepodległościowe.

Gdy wybuchła wojna, 3 sierpnia 1914 roku we dworze goszyckim zatrzymał się pierwszy oddział strzelców I Kompanii Kadrowej pod dowództwem „Beliny”, czyli Władysława Beliny-Prażmowskiego. Zofia Zawiszanka jedzie natychmiast do Krakowa, do Józefa Piłsudskiego, z meldunkiem o ich bezpiecznym przekroczeniu granicy między zaborami austriackim a Królestwem.

<sup>1</sup> Referat wygłoszony podczas konferencji naukowej *Jan Józef Szczepański – życie i dzieło. W 10. rocznicę śmierci*, 28 września 2013 r. w Kazimierzu Dolnym.

stwem. Powiedział jej wtedy: „Zdaje się, że nikt w Polsce nie odczuwa tak jak ja, ciężaru tej chwili i decyzji. A jednak postanowiłem i biorę odpowiedzialność” – tę rozmowę w sztabie właśnie powstającej I Kompanii Kadrowej opisała Zofia Zawiszanka w *Moim pierwszym spotkaniu z Komendantem*<sup>2</sup>. W czasie I wojny światowej Zofia Zawiszanka zostaje wywiadowczynią Legionów, bardzo przez Piłsudskiego cenioną.

W 1916 roku przychodzi na świat Anna, owoc krótkiego małżeństwa Zofii z Januszem Gąsiorowskim, jej kolegą z Drużyn Strzeleckich (późniejszym generałem i szefem sztabu Piłsudskiego). Ojcem chrzestnym dziewczynki zostaje Józef Piłsudski.

Zofia Zawiszanka jest również działaczką społeczną, zaangażowaną w uświadomienie społeczne i ideowe polskiej wsi. W 1923 roku ofiarowała kilka działek ziemi wydzielonych z majątku dla zasłużonych chłopów-legionistów. Parcele te nazywano „Legionówką”.

2–5 sierpnia 1924 roku (w 10 rocznicę postoju patrolu Beliny w Goszycach), odbywa się w dworze Zjazd Legionowy, w którym wziął udział Józef Piłsudski; w jego obecności odsłonięto tablicę upamiętniającą ten postój. Tablicę tę zamurowano w chwili opuszczania dworu przez właścicieli w 1945 roku. Zachowała się na domu do dziś.

W tymże 1924 roku Zofia Zawiszanka przygarnia swojego młodego kuzyna Juliusza Wolskiego z żoną Stefanią, wydziedziczonego przez rodzinę na skutek, jak to się mówiło, popełnienia megaliansu. Po przedwczesnej śmierci Juliusza w marcu 1926 r., Stefania z córką Danutą i synem Juliuszem pozostaje w Goszycach pod opieką Zofii Kernowej. Stefania umiera w roku 1939 i wtedy Danuta i jej brat stają się wychowankami właścicielki Goszyc. Danuta Wolska była dla Anny Gąsiorowskiej-Turowiczowej przybraną siostrą.

W 1929 roku Zofia, gorąca patriotka, oddaje córkę jedynaczkę do „Cisowego dworku”, eksperymentalnej szkoły o tradycjach harcerskich prowadzonej przez Olę Małkowską w Sromowcach Niżnych. Tam Anna spotyka po raz pierwszy 10-letniego Jana Józefa Szczepańskiego, co znakomicie opisał w opowiadaniu *Trzy czerwone róże*, mówiąc, że tam właśnie otrzymał „zaszyfrowany tajemnie plan życia”. Następne spotkanie Anny i Jana nastąpiło 10 lat później, w czasie pierwszej wojennej zimy.

W czasie okupacji mieszkańcy dworu aktywnie uczestniczą w działalności podziemnej. Zofia Kernowa jako oficer (obecnie AK) współdziała z Batalionami Chłopskimi czynnymi we wsi Goszyce. Mieszkający we dworze brat

<sup>2</sup> Rękopis w Archiwum Zofii Zawiszy-Kernowej, obecnie we dworze w Goszycach, nie-drukowany.

Danuty Juliusz i ich kuzyn Marcin Wolski uprawiają w okolicznych lasach partyzantkę, traktując dwór jako bazę wypadową. Sama Danuta Wolska pod koniec wojny jest sanitariuszką.

Anna, która wraz z mężem, Jerzym Turowiczem, we wrześniu 1939 roku zamieszkała we dworze, zaprasza Jana Józefa Szczepańskiego do Goszyc „żeby odpocząć lub przycupnąć bezpiecznie”. Jednakże w lecie 1942 roku, po donosie na właścicieli Goszyc, że ukrywają rodzinę żydowską (co było zresztą prawdą), Zofia (która w 1925 roku poślubiła Romualda Kerna, inżyniera i z zamiłowania rolnika) pojawia się z wnuczkami w Kasince Małej, górskim domu Szczepańskich. Tego samego roku, we wrześniu, Jan Józef dociera po raz pierwszy do Goszyc (i tam właśnie poznaje 18-letnią Danutę). Od tego czasu Szczepański, który czynnie działał w konspiracji, a potem w partyzantce, często odwiedzał Goszycę, kiedy będzie się musiał gdzieś ukryć – Niemcy wytropili już dom w Kasince. Jego dłuższe i krótsze pobyty sprawiły, że stał się prawdziwym domownikiem. Całą zimę z 1943/1944 roku spędza we dworze, w czerwcu 1944 roku idzie do lasu, po czym tuż przed Sylwestrem wraca do Goszyc.

Opis ostatniego sylwestra w noweli *Koniec legendy* jest znany z pewnością czytelnikom Szczepańskiego. Zaczyna się od spotkania dwu światów, z jednej strony życie w lesie z jego niebezpieczeństwami, niewygodami, strasliwym zmęczeniem i niepewnością, a także odpowiedzialnością za ludzi, z drugiej zaś: powrót do niby „normalnego życia” – przejście odbywa się w podmiejskim, zatłoczonym pociągu, tym, którym zawsze tam jeździł, tylko tym razem ulotnił się gdzieś wszechobecny wcześniej strach pasażerów, w większości szmuglerów i mleczarek:

Pierwszym zdumieniem dla Szarego było to, że ten świat się nie zmienił, że czekał na niego ustawiony tak samo jak wtedy, gdy go porzucił. Drugie zdumienie było trudniejsze do zdefiniowania, drugie zdumienie rejestrowało właśnie zmianę. Ale jaką, gdy wszystko było tak samo? (...) Scena była ustawiona tak samo i wciąż jeszcze powtarzano na niej narzucone przez reżysera gesty, ale i w tym pozostawionym samemu sobie świecie nieubłaganie płynął czas. Wciąż jeszcze grano tę samą sztukę, lecz Szary wracał na koniec sezonu. Aktorzy, wyczerpani i znudzeni, odklepywali już tylko swoje w oczekiwaniu końca. Ogarnął go przelotny, łagodny smutek. Uświadomił sobie, ile własnych sił i emocji włożył w ten dramat i jak bardzo przywiązał się bezwiednie do swojej niewesołej roli<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> J.J. Szczepański, *Koniec legendy* [w:] tegoż, *Buty i inne opowiadania*, Kraków 1983, s. 91–92.

Drugi świat czekał na niego w goszyckim dworze (w Gryniewiczach, jak go nazwał w swoim opowiadaniu). Znał tam prawie wszystkich domowników, więcej, po tylu pobytach był już jednym z nich.

Opadły go wątpliwości. Jak go przyjmą? To przecież nie był jego dom. Tyle tylko, że rok temu ukrywał się w nim przez kilka miesięcy. Myślał o nim jednak, nie jak o przypadkowej „melinie”. Lecz jak o żywej, cieplej przystani. Tylko, że rok – to przecież kawał czasu. Kogo zastanie? (...) W wielkim napięciu oniesmielenia i tęsknoty czekał na ciepło i sytość, na nieopisany urok przyjaznych spojrzeń<sup>4</sup>.

Bohater zastaje właścicieli dworu (Zofię i Romualda Kernów przedstawionych jako państwo Woyno) oraz wszystkie „damy” z *Ballady o Wąsalu* wpisanej ręką Szczepańskiego rok wcześniej do goszyckiej Księgi Gości. A więc Joannę (Annę Turowiczową), Zulę (Lusią Grudzińską), Teresę (siostrę Lusi, Irenę Schroederową) i wreszcie Izę (Danutę Wolską, jego późniejszą żonę), a także między innymi Jerzego Turowicza, Jerzego Schroedera, chłopców czyli Juliusza Wolskiego, Marcina Wolskiego, Wacława Wójcika, prof. Stefana Szumana z córką Grażyną, wszystkie ciotki i mnóstwo dzieci, a także wielu nieznanym sobie uchodźców z Warszawy, wśród których jest Czesław Miłosz z żoną Janiną i Mieczysław Choynowski przedstawieni w opowiadaniu jako Wielgosz i Siciński.

Ja sama, z młodszą siostrą Joanną, byłam tam wtedy, ale w wieku, który nie pozwalał mi na uczestnictwo w balu, zostałam natomiast opisana, wraz z innymi dziećmi, w obydwu opowiadaniach związanych z Goszycami. Dwór w czasie okupacji stanowił przystań dla wielu osób wygnanych z własnych domów, a także dla uciekinierów z Warszawy po powstaniu. Już w 1941 roku, na imieniny Zofii Kernowej, podarowano jej pięknie ilustrowany ręką Leli (Anieli) i Luli Pawlikowskich album zatytułowany *Arka Noego*, zawierający wierszyki autorstwa Stefana Szumana i jego córki Grażyny, Danuty i Juliusza Wolskich, Anny i Jerzego Turowiczów, Anny Wolskiej, Ireny Bykowskiej, Józefa Zubrzyckiego. Romuald Kern przedstawiony jako Noe stara się opanować dom, w którym gnieździ się „każdego zwierza po parze”.

Poemat niemały, napisany ku chwale dworu Goszyckiego, w którym krewni stłoczeni jak w Arce Noego, przed potopu zalewem strasznym się schronili... Co oni tutaj wszyscy pospołu przeżyli, i też jak dokuczali swoim gospodarzom, którzy, dobrzy ludzie, nawet się nie skarżą, na przedziwne maniere swoich mi-

<sup>4</sup> Tamże, s. 102, 104.

łych gości, i na nigdy nie syte, wilcze ich wnętrzności – to niech potomności te księgi przekażą!<sup>5</sup>

Tak było przez całą okupację. Uchodźców przybywało, niektórzy z nich uczyli również młodzież, która podczas wojny miała przymusową przerwę w nauce. A więc edukowali ich Stefan Szuman, Czesław Miłosz i inni. Wieczorami, przy lampach naftowych, w salonie lub pokoiku Turowiczów czytano głośno poezję lub prozę, na przykład *Ubu Króla*, ku oburzeniu Zofii Kernowej.

Kiedy Armia Czerwona była już na polskich ziemiach, 9 sierpnia 1944 roku oddział Wehrmachtu otoczył o świcie dwór. Mieszkańców obydwu dworów zgromadzono w parku pod wycelowanymi karabinami maszynowymi, po czym przeszukano dokładnie dom. Szukano broni (Niemcy wiedzieli, że we dworze są partyzanci). Partyzantów w pidżamach nie zidentyfikowano, broni, dobrze ukrytej, nie znaleziono. Przypadkowym zbiegiem okoliczności Zofii Kernowej, którą zamierzano aresztować, nie było tego dnia w domu. Aresztowano więc dziadka Kerna oraz mojego ojca i wywieziono w nieznanym kierunku. Okazało się jednak, że oficerowie niemieccy byli zniechęconymi do wojny austriackimi inżynierami, którzy studiowali na tej samej co dziadek wiedeńskiej politechnice. Kiedy ustalono już wspólne wątki biografii, dla ułagodzenia żołnierzy Wehrmachtu spełniono żądanie Austriaków, którzy domagali się wódki i świniaka. Dostarczono je z Goszyc bryczką i tą samą bryczką odesłano aresztantów do domu. Raz jeszcze nienaganne maniere, wspaniałe poczucie humoru i cywilna odwaga dziadka uratowały nas z opresji.

Niebawem Armia Czerwona dotarła do Goszyc. Pijani do nieprzytomności żołnierze rabowali i sytuacja stała się naprawdę groźna. Udało się ją okiełznać dzięki Czesławowi Miłoszowi, który znając dobrze rosyjski, nakłonił do interwencji stacjonujących w sąsiednim dworze oficerów.

W lutym 1945 roku mieszkańcy Goszyc muszą dom i majątek opuścić na skutek reformy rolnej. Zamieszkali wówczas w Krakowie. Moja matka nigdy już we dworze nie była. Wyprawy do Goszyc kończyły się na luborzyckim cmentarzu lub w gospodarstwach zaprzyjaźnionych dawnych pracowników dworu (kucharki czy ogrodnika). Nowy dwór wrócił do rodziny w 2002 roku, kiedy to udało się go odkupić od Agencji Rolnej Skarbu Państwa. Mieszka tam teraz Michał Smoczyński (prawnuk Zofii Zawiszanki) z żoną Martą (córką Marcina Wolskiego) i trojgiem dzieci: Anielą, Stanisławem i Melanią.

<sup>5</sup> Archiwum Zofii Zawiszy-Kernowej.

Powoli starają się podźwignąć go z ruiny, do jakiej doprowadziły lata dewastowania przez różne instytucje i Spółdzielnię „Burak”. Danuta Szczepańska jeszcze zdążyła, choć nie bez obaw, odzyskany dom odwiedzić, tak samo zresztą jak Czesław Miłosz. Nie udało się to mojej matce.

18 października 1947 Jan Józef bierze ślub z Danutą Wolską, którą w *Baladzie o Wąsalu* (śpiewanej na melodię *Pięciu chłopców z Albatrosa*) tak opisał:

Czy tej czwartej co sepleni, co tak ślicznie się rumieni i falisty tak figlarnie marszczy nos?... Której, której, rzecz o Pani, moje serce przyjmij w dani, moje serce, moją szpadę i mój wąs? (...) A ta czwarta nie jest płocha, świętych Pańskich tylko kocha i nie znany jest jej podły ziemski Eros.

Więc Wąsalu trudna rada, na nic serce, na nic szpada, bierz manatki i w daleki ruszaj świat. Może znajdziesz gdzieś kobietę, co by czterech dam zalety, posiadała, bez wspomnianych wyżej wad.

W co zresztą, niżej podpisany mocno wątpi.

Wąsal<sup>6</sup>.

Przyjęcie ślubne odbywa się przy ulicy Lenartowicza, u moich rodziców.

Matką chrzestną Danuty była Zofia Kernowa. Szesnastoletnia Danuta trzymała mnie do chrztu (zresztą trzecie imię, Stefania, dostałam po jej matce). Żeby pociągnąć dalej te zasupłania rodzinne, dodam, że mój ojciec (Jerzy Turowicz) był ojcem chrzestnym najstarszej córki Szczepańskich, Anuli, ja jestem matką chrzestną Katarzyny Szczepańskiej, a moja córka Dominika matką chrzestną Klary, najmłodszej córki Katarzyny i Michała Kowalczyków... Przyjęcie ślubne ich najstarszej córki, Ajki z Jakubem Karwowskim odbyło się w 2009 roku we dworze w Goszycach.

Oba domy Szczepańskich, ten w Kasince, i ten przy ulicy Helclów w Krakowie, były dla mnie i dla moich sióstr zawsze otwarte, ciepłe i przyjazne. W czasie studiów, kiedy miałam dużo zajęć i nie miałam czasu, żeby wracać do domu, chodziłam tam przez parę lat na „obiady czwartkowe”. To był dom otwarty, myślę, że Danuta prawie nigdy nie wiedziała, ile osób zasiądzie do stołu, bo zawsze zjawiała się jakaś zgłodniała koleżanka czy zgłodniały kolega. Zawsze było tam dużo „przyszywanych dzieci”. To był prawdziwy dom, prawdziwa rodzina.

<sup>6</sup> W Księdze Gości Anny i Jerzego Turowiczów, w Archiwum Jerzego Turowicza, w Bibliotece Narodowej.

Tu zacytuję fragment, niedrukowanego jeszcze opowiadania Katarzyny, córki Jana Józefa *Historia na dnię szuflady 2*, który doskonale charakteryzuje jej ojca, jego poczucie humoru i przemożną wolę obserwacji:

Imprezy w domu na Helclów. „Garden Party”, circa 1975.

– To zupełnie jak z filmu o latach osiemdziesiątych – wykrzyknął ktoś, komu opowiedziałam o tym balu. Mój rozmówca był co najmniej trzydzieści lat młodszy ode mnie i te czasy mają dla niego smak legendy. „Garden Party” zdarzyła się wcześniej, ale młody kolega nie sięga doświadczeniem w świat przed pojawieniem się najeżonych kolczykami punków. U nas, wtedy, trwała jeszcze epoka dzieci kwiatów. Słuchaliśmy Procol Harum, Boba Dylana, Dire Straits, Pink Floydów i Beatlesów... Nosiło się kolorowe spódnice i błyskotki. Szarość nas uwierała. Mój brat prowadził życie hipisa.

– Zrobimy party, co ty na to? – zaproponował, gdy rodzice pojechali do Norwegii i zostawili nas samych.

Zaprosiliśmy WSZYSTKICH. Przyszli znajomi i znajomi znajomych. Zdołaliśmy wciągnąć w nasz projekt całą kamienicę. Poszczególne piętra ugotowały różne potrawy, a wynajmujący pokoje studenci stworzyli band i ulokowali się z nim w jednej z piwnic. *Dancefloor* obejmował mieszkanie na parterze i oświetlony ogród. To był szalony bal!

Dużo później, kiedy poznałam mojego męża, powiedział mi, że i on przewinał się przez Garden Party. Nie spotkałam go w tłumie. Pewnie dlatego, że wpatrywałam się w starszego brata i jego przyjaciół z łódzkiej filmówki, w grupę historyków sztuki, skupionych wokół meksykańskiej piękności, i w przygodnego poetę. Owym doznaniem towarzyszyła taneczna eksplozja tanga. Bez pamięci tratowaliśmy parkiet i, ogrodowy trawnik... aż do powrotu rodziców, którzy zdziwili się zastanymi zmianami. (...)

– Gdy wyjeżdżałam, byłaś małą dziewczynką – westchnęła Mama – No cóż, nic już nigdy nie będzie tak jak dawniej...

Mama i Dadej [tak w rodzinie nazywano Jana Józefa] poddali się bez walki. Ich pobyty w Kasince przedłużyły się tylko do jesieni, nawet do pierwszych śniegów. Dadej wpadał do domu częściej z racji przeróżnych interesów. Jego wielkoduszość wobec piknikujących po kątach wagałundów powalała nas na kolana. Raz, zanim zdążył wydobyć klucz z kieszeni, otworzyła mu Sherley – przelotnie goszcząca u nas Angielka. – O, witaj! – powiedziała, gdy uściśniła jej rękę. – Jesteś nowy, prawda?

Ojciec nie protestował, gdy oprowadziła go po mieszkaniu, a nawet pokazała mu, jak zapalać piecyk w łazience, by nie pluł ogniem. Cierpliwie wysłuchał jej instrukcji, po czym zniknął w swoim pokoju.

„W każdym kątku po dzieciątku” – zdziwił się na widok kolejnego intruza, tym razem wylegającego się na jego własnym łóżku.

Tego wieczoru ojciec zabrał nas wszystkich na kolację i spędziliśmy razem miły wieczór.

Nie dziwił się, nie protestował. Czekał, aż sami uporamy się z szaleństwem dorastania. Musiał wiedzieć, że przelotny bałagan niczemu nie zagraża i że wszystko wróci do normy, nawet... w jego pokoju<sup>7</sup>.

Zofia Kernowa uważała Danutę i Jana za swoje dzieci. W jej zapiskach z okresu choroby i śmierci męża widnieje: „Dziś byli pożegnać się z nim obaj synowie” – a w *Dziennikach* Jana Józefa czytamy pod datą 7 maja 1955 roku:

Przed południem byłem z Jerzym na Olszy u umierającego p. Kerna. Podobno wczoraj był niezwykle łagodny, poddawał się jakby i godził, wchodził w śmierć bez protestu. Dziś zastaliśmy go zupełnie przytomnym. Pytał Jerzego o politykę, próbował rozmawiać o bieżących sprawach. Ale w jego okropnie wyniszczonej twarzy jest gorycz i sprzeciw. Czujnie chwytą każdą wzmiankę o swoim stanie zdrowia, obserwuje podejrzliwie wyrazy twarzy, jest rozdrażniony. Poskarżył się nam, że „dziś od rana niczego mi nie wolno. Chciałem wstać, to nie pozwolili”. A kiedy Jerzy bąknął, że nie czas na wstawanie, zażądał z naciskiem wyjaśnień. Ten człowiek, który mimo 73 lat nie był stary, zachował dowcip, bystrość, wdzięk i jakąś szczególną godność życia, teraz robi wrażenie kogoś okradzonego. Wydaje się, że myśli: „Jakim prawem zabieracie mi to wszystko?”. I rzeczywiście, niesamowite jest to prawo, kiedy człowiek nie chce zgasnąć sam z siebie.

I pod datą 13 maja – „Umarł pan Kern”. Takie było pożegnanie Szarego z panem Woyno.

Wspaniały portret Zofii stworzył Jan Józef Szczepański w opowiadaniu *Trzy czerwone róże*. Jest to jednak obraz może trochę mylący, bo opisuje ją taką, jaka była w ostatnich latach swojego życia: stara, samotna, schorowana. Mam w ręku, zachowany w Archiwum Jerzego Turowicza, niedrukowany artykuł Jana Józefa, chyba z końca lat dziewięćdziesiątych pt. *Najważniejsze zasługi właścicielki Goszyc*. Czytamy tam:

Uważała, że największa ambicja jej życia nie została zaspokojona. Pod tym względem nie była wyjątkiem, bowiem istotą tej ambicji było poczesne miejsce w literaturze. Chciała być powszechnie znaną i cenioną pisarką. Nie była nią, chociaż napisała i wydała kilka książek. Ich tematyka była szlachetna i tak to można określić: patriotyczna, przede wszystkim zaś głosząca cnoty wojskowe, a więc odwagę, wierność, umiejętność podejmowania trudnych, ryzykownych

<sup>7</sup> Tekst w posiadaniu Autorki.



decyzji. Postaciami, które ją fascynowały, i które kochała były: Józef Piłsudski i Joanna D'Arc. Oczywiście pisanie o nich miało przede wszystkim charakter panegiryku, ocierało się – w obu wypadkach – o hagiografię. W epoce rosnącego zainteresowania psychologią ta postawa nie mogła liczyć na powszechne zainteresowanie. Pisarstwo Zofii z Zawiszów Kernowej nie cieszyło się szeroką popularnością, co osobiście rozumiałem doskonale, chociaż wiedziałem, że źródłem zainteresowań Zofii Kernowej jest w pierwszym rzędzie biografia autorki, byłego żołnierza Legionów, osoby odznaczonej Krzyżem Walecznych, posiadającej znaczne, wojenne zasługi. Z własnego doświadczenia wiem, że te wojenne zasługi, połączone z dziwactwami starzejącej się kobiety, wśród znających ją bliżej krewnych i znajomych budziły raczej rozbawienie, niż należny jej niewątpliwie podziw. Dziś, po wielu latach od śmierci byłej legionistki i autorki książek o Józefie Piłsudskim i Joannie D'Arc, wiem także, że zasłużyła ona na podziw oraz szacunek z innych niż tylko czyny wojenne powodów. Może nie tak efektowne, dokonywane po cichu i bez rozgłosu, ale zasługujące w większym niż książki stopniu na podziw i szacunek. Bo jest to, chociaż niefortunna pisarka nie zawsze zdawała sobie z tego sprawę, kontynuacja zobowiązania, które młoda kiedyś i pełna patriotycznego zapału dziewczyna podjęła, idąc do Legionów.

Majątek pani Zofii, położone w pobliżu Krakowa Goszyce, też wiązał się z historią Legionów. Tu był biwak Pierwszej Kompanii Kadrowej, po przekroczeniu granicy zaboru austriackiego i wkroczeniu do Królestwa. Pani Zofia nie interesowała się swoją (bardzo żyzną) ziemią, ale jej związek z Legionami był dla niej ogromnie ważny i zadecydował o dalszych losach majątku. Po pierwszej wojnie pani Zofia wydzieliła dziesięć działek, po dziesięć morgów każda i obdarowała nimi dziesięciu legionistów, będących w trudnych warunkach finansowych. Nikt nie chwalił jej za tę hojność (zresztą nie spodziewała się tego), uważała tylko, że to jej naturalny obowiązek. Większa część tych działek została szybko sprzedana, ale dwa „legionowe” gospodarstwa przetrwały do dzisiaj – przetrwały całą drugą wojnę światową, wszystkie zmiany ustrojowe, przetrwały też hojną właścicielkę Goszyc i udzielały schronienia wielu, potrzebującym go w czasie wojny ludziom. Tak samo, jak i dwór w Goszycach, były przez szereg lat bezpieczną dla wielu osób „meliną”.

Nigdy nie należałem do entuzjastów literackiej twórczości pani Zofii, ale wielokrotnie korzystałem z jej zbawiennej (dosłownie) gościny w Goszycach. I dzisiaj myślę, że na tym głównie polegała jej – nie zawsze doceniana – rola. W jej domu przechowywali się miesiącami ludzie z podziemia, uciekinierzy z Warszawy, Żydzi – ci wszyscy, którzy potrzebowali schronienia, albo nie mieli co jeść. Dom w Goszycach zapewniał im bezpieczeństwo, a przede wszystkim – opiekę. Wiem dobrze, bo doświadczyłem tego na własnej skórze. Byłem jednym z kilkudziesięciu „biesiadników” przy coraz skromniejszym goszyckim stole. Jakim byliśmy dla tego stołu i dla tego domu obciążeniem, wiedzieliśmy z grubsza, ale nigdy nikt nam tego nie wymawiał.

W Goszycach przechowywało się w owym czasie kilku wybitnych poetów i pisarzy. Wszyscy oni zawdzięczają wiele (nieraz życie) gościnności pani Zofii. Ale nikt z nich nie zwrócił nigdy uwagi na jej literacką twórczość. Ona sama nie mówiła o niej, wiedząc, że nie zyska ona aprobaty, że uznana zostanie za zbyt staroświecką. Oczywiście nie była ona wrażliwa na aktualne literackie trendy. Jej wzory należały już do zapomnianej „młodopolskiej” epoki. Zresztą nie wspominała też o tym, co stanowiło istotną treść jej rzeczywistości. Zajmowała się głównie – o czym i ja dowiedziałem się znacznie później – działalnością charytatywną. Była dla całej wsi i okolicy kimś w rodzaju dobrowolnej kasy chorych. Z pomocą zamieszkujących dwór młodych dziewcząt wykonywała okresowo, zwłaszcza kobietom zastrzyki i opatrunki, sprowadzała własnymi końmi i na własny koszt pomoc lekarską, a nieraz kosztem poważnego ryzyka udzielała osobistej pomocy, jak w wypadku umierającej na raka kobiety, którą brutalny mąż trzymał w zamkniętej komórce, odmawiając jej opieki i żywienia. Właściwie się do niej, aby ją umyć i pożywić. My wszyscy dostrzegaliśmy przede wszystkim dziwactwa pani Zofii, z których żartowaliśmy często, ale ludzie we wsi wiedzieli, że zawsze mogą liczyć na pomoc „pani dziedziczki”.

Nie doczekała się nigdy rozgłosu jako pisarka (na czym jej w gruncie rzeczy najbardziej zależało), ale została w pamięci – i zostanie, nieocenioną pomocą dla potrzebujących – ważniejszą niż zasługi bojowe i literackie.

Również w „Tygodniku Powszechnym”, do którego pisywał artykuły i recenzje filmowe, Jan Józef Szczepański był w jakiś sposób „osobny”. Nie lubił szufladkowania, rutyny, każde „siedzenie w redakcji” byłoby dla niego męką. Widać to wyraźnie w jego *Dzienniku*, kiedy pisze o czasach, gdy pracował w Wydawnictwie Muzycznym. Lektura tych *Dzienników* jest niezmiernie interesująca. Widzę tam niezwykle charakterystyczne i ciągnące się przez dziesięciolecia kłopoty finansowe: święta za pasem, a nie ma za co kupić dzieciom prezentów. O jakie prezenty chodziło? Przypuszczam, że takie jak u nas, jakieś książki, kredki, zeszyt czy lalkę. Nieustanne pożyczanie i oddawanie, od jednej zaliczki do drugiej... Wyplata z filmu – długi oddane, ale już niewiele zostało... Taka była codzienność tego pokolenia i tego środowiska. Jakieś prace przekładowe niekiedy robione tylko dla pieniędzy, ale niezwykle sumiennie. I straszni kwaterunkowi lokatorzy (nie wszyscy zresztą byli straszni), w jednym mieszkaniu z trojgiem dzieci, jedną łazienką i ciasną kuchnią – dramatyczny brak prywatności, szykany i robienie na złość właścicielom w ich niegdyś mieszkaniu. Pamiętam do dziś niektóre nazwiska tych postaci jak z koszmaru. Jan Józef Szczepański, kiedy mógł, uciekał w góry. W pokonywaniu własnych słabości odzyskiwał równowagę, hierarchię spraw. Wierny w przyjaźni, wśród najbliższych byli: Brzozow-

scy, Kotulowie, Sias (Stanisław) Siedlecki, Lemowie, Witold i Anta Gorscy – wszystkich ich często można było spotkać w tym domu albo w Kasince. Pamiętam, że jako bardzo mała dziewczynka, mogłam mieć może ze cztery lata, modliłam się w Kasince do autoportretu Tadeusza Brzozowskiego, myśląc, że to jakiś święty. Dopiero potem poznałam Tadeusza.

Dla mojego ojca Jan i Danuta byli nie tylko jak najbliższa rodzina, ale także jak najbliżsi w ogóle ludzie. Ludzie, na których zawsze można było liczyć, niezawodni, prawdziwi przyjaciele. Ostatnim tekstem, jaki mój ojciec napisał dla „Tygodnika”, na parę tygodni przed śmiercią, były życzenia dla Jana Józefa na jego osiemdziesiąte urodziny, zatytułowane *Osiemdziesięciolecie Jana Józefa*:

Jan Józef Szczepański kończy dziś osiemdziesiąty rok życia. Przeszło pół wieku temu, na łamach „Tygodnika Powszechnego” opublikował wstrząsające opowiadanie *Buty*, świadectwo cechujące całą jego twórczość wrażliwości moralnej, tej *moral integrity*, która nie ma nic wspólnego z moralizatorstwem. Kilkadziesiąt tomów prozy, które wyszły spod jego pióra, stawia go w rzędzie najwybitniejszych pisarzy polskich naszego czasu. W tym jego dorobku twórczym szczególne miejsce zajmuje *Kadencja*, beznamiętny zapis walki o wolność słowa, toczonej przez niego w stanie wojennym, w imieniu całego środowiska pisarzy. W toku ponad pół wieku trwającej pracy pisarskiej Jan Józef Szczepański nie napisał ani jednego słowa, którego musiałby się dziś wstydić. Jasiu, za Twój wkład w nasze wspólne dzieło, serdecznie Ci dziękujemy. Karta, którą zapisałeś na łamach naszego pisma, jest nadal otwarta<sup>8</sup>.

Tekst został opublikowany numerze 3 „Tygodnika Powszechnego” z 1999 roku.

Mój ojciec nie pisał dziennika, tylko notował w kalendarzach, bardzo skrótowo, spotkania i osoby. Wyjątkiem były podróże zagraniczne, w czasie których pisał więcej, notował wrażenia. W czasie jednej z nich, z delegacją Pax Romana na Daleki Wschód w grudniu 1959 i styczniu 1960 roku, podczas krótkiego pobytu w Kalkucie, zapisał w diariuszu:

To coś zupełnie niezwyklego, niesamowitego, to najpiękniejsze wrażenie z **całej** podróży. Jak to opisać? Już w drodze wrażenie rośnie. Krowy na ulicach, na chodniku, na jezdni i ludzie, którzy siedzą na ziemi lub już leżą, na chodniku, pod ścianami, zawinięci w jakieś łachmany. Dojeżdżamy do świątyni. Mrowie ludzkie, dołącza do nas jakiś stary Hindus, z Sokratesową brodą i płonącymi oczyma, zawinięty w ciemno czerwone prześcieradło. Wchodzimy, jakieś wą-

<sup>8</sup> „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 3.

skie korytarze, wszędzie ludzie, siedzą, stoją, drzewo przedziwne, pod którym bezpłodne matki proszą o potomstwo, jakaś kaplica, przed którą stoi Hindus ze złożonymi rękami przyłożonymi do czoła. Dalej kapliczka Kali, kapliczki Sziwy, Wiszny i czegoś jeszcze. W środku stary Hindus stoi ze złożonymi rękami na jednej nodze w kapliczce Sziwy, jakiś inny biega dokoła, kręci się i śpiewa coś gardłowym dziwnym niskim głosem (...), wszędzie pełno żebraków, dzieci, które wciskają się między nas, chwytają za ręce, wydając jakieś niezrozumiałe głosy i piszcząc baksys, baksys – naokoło kramy, z żywnością, kadzidłem i obrazami (...). Oprowadza nas młody kapłan, w zielonym prześcieradle, z kręconą czarną czupryną i płomiennymi przekonywającymi oczyma, mówi dosyć zrozumiale po angielsku. Kiedy wychodzimy, staję w drzwiach autobusu i wygłasza przemówienie pożegnalne, prosząc o datek. To, co zapisałem, to tylko jakiś ułamek wrażeń, ale jak to opisać? Ach, gdyby tu był Jaś!<sup>9</sup>

To tekst nieredagowany, ręcznie pisany jednym ciągiem. „**Ach gdyby tu był Jaś!**”

A teraz, na cmentarzu tynieckim leżą wszyscy, cała czwórka: moi rodzice i Jan z Danutą, naprzeciw siebie, przy tej samej alejce.

<sup>9</sup> Archiwum Jerzego Turowicza w Bibliotece Narodowej.